

Zanim poznasz prawdę



Laura Bellini

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie.....	1
Rozdział 1. Człowiek od dokumentów	8
Rozdział 2. To samo płótno	22
Rozdział 3. Inna ręka	36
Rozdział 4. Po godzinach	49
Rozdział 5. Szkicownik	62
Rozdział 6. To, czego nie podpisano.....	76
Rozdział 7. Nazwisko.....	91
Rozdział 8. Bez przypadku	107
Rozdział 9. Następnego dnia	123
Rozdział 10. Zwykły wieczór.....	139
Rozdział 11. Pytanie o ojców	155
Rozdział 12. Pod obrazem	170
Rozdział 13. Nowe zasady	186
Rozdział 14. Miejsce dla dwojga.....	201
Rozdział 15. Nie ten rok	217
Rozdział 16. Zanim będzie za późno	233
Rozdział 17. Teczka Radeckiego	250
Rozdział 18. Po prawdzie	266
Rozdział 19. Głos Hanny	282
Rozdział 20. Nazwisko Radecki.....	299
Rozdział 21. Tylko to, co jest	314
Rozdział 22. Autor obrazu	330

Rozdział 23. Po własnej stronie.....	346
Rozdział 24. Światło po deszczu.....	361
Epilog.....	379

Wprowadzenie

Farba nie powinna tam być.

Przez kilka sekund patrzyłam na wąski fragment płótna odstonięty przy lewej krawędzi podobrazia i próbowałam znaleźć najprostsze wyjaśnienie. W konserwacji najprostsze wyjaśnienie często okazywało się właściwe: późniejsza poprawka, zabrudzenie, pozostałość dawnego werniksu, przypadkowe przesunięcie pędzla podczas retuszu. Tyle że to, co widziałam pod lupą, nie wyglądało na żadną z tych rzeczy.

Przesunęłam lampę o kilka centymetrów. Zmiana kąta światła wydobyła fakturę warstwy schowanej pod listwą starego naciągu.

Ciemny błękit przechodził w szarość, ale nie przez krótkie, zdecydowane pociągnięcia, które znałam aż za dobrze. Tutaj farbę nakładano spokojniej, szerzej, miękko wyprowadzając granicę koloru.

Powinnam była zrobić zdjęcie, wpisać obserwację do protokołu i przejść dalej.

Zamiast tego przybliżyłam twarz do płótna.

- Nina?

Głos Tadeusza Króla dobiegł zza moich pleców.

Nie odpowiedziałam od razu.

„Światło po deszczu” spędziło większość swojego życia w prywatnych kolekcjach. Po raz ostatni poddawano je poważniejszej konserwacji niemal trzydzieści lat wcześniej. Teraz miało stać się centralnym punktem retrospektywy Juliana Orłowskiego, wystawy przygotowywanej przez muzeum od kilku lat.

Mój dziadek.

Nazwisko, które otwierało drzwi, zanim zdążyłam wyjaśnić, że nie chcę, żeby ktokolwiek je przede mną otwierał.

- Coś znalazłaś? - Tadeusz podszedł bliżej.

Wyprostowałam się.

- Jeszcze nie wiem.

To była odpowiedź bezpieczna. Konserwator bardzo szybko uczy się nie nazywać rzeczy, zanim nie jest pewien, na co patrzy.

Tadeusz wsunął okulary wyżej na nos i spojrzał na obraz. Miał sześćdziesiąt sześć lat i cierpliwość człowieka, który potrafił przez pół dnia dyskutować o jednej dacie w katalogu. Przy „Świetle po deszczu” tej cierpliwości zaczynało mu jednak brakować.

- Mieliliśmy dziś zamknąć oględziny.

- Wiem.

- Transport na badania jest zaplanowany na środę.

- Też wiem.

Włożyłam rękawiczki i ostrożnie uniosłam fragment zabezpieczenia przy krawędzi. Nie dotykałam warstwy malarskiej. Wystarczyło światło.

I wtedy zobaczyłam drugą rzecz.

Była jeszcze mniej znacząca niż różnica w sposobie nakładania farby.

Ołówkowy ślad.

Prawie starty.

Jedna pionowa kreska, druga ukośna. Przesunęłam lampę.

H.

Poniżej znajdowały się cztery cyfry, z których dwie pierwsze odczytałam od razu.

19.

Serce zabiło mi szybciej, choć nie miałam jeszcze powodu, żeby przywiązywać do tego znaczenie.

- Podaj mi aparat - powiedziałam.

Tadeusz westchnął.

- Nina.

Spojrzałam na niego.

- Jeżeli chcesz, żebym podpisała protokół, muszę wiedzieć, co podpisuję.

Przez moment milczał.

Nie pierwszy raz słyszałam ten rodzaj ciszy. Ludzie, którzy zlecali konserwację, lubili dokładność dopóty, dopóki jej wyniki nie komplikowały terminów, budżetów albo historii, którą zamierzali opowiedzieć.

Tadeusz podał mi aparat.

Zrobiłam serię zdjęć. Najpierw całość, potem krawędź, na końcu znak. Przy maksymalnym powiększeniu data stała się czytelniejsza.

1989.

Rok ukończenia obrazu.

- Może oznaczenie poprzedniego konserwatora - powiedział Tadeusz.

- Może.

- Albo pracowni.

- Może.

- Więc?

Zdjęłam rękawiczki.

- Więc musimy to sprawdzić.

Popatrzył na mnie tak, jakbym właśnie przesunęła datę otwarcia wystawy jednym zdaniem.

Obraz stał przed nami na stalowym stole. Znałam go od dzieciństwa z reprodukcji, katalogów i albumów stojących u matki. Oryginał widziałam wcześniej tylko dwa razy. Był większy, niż podpowiadała pamięć. Otwierał przed widzem jasne okno po burzy, mokry parapet i kawałek nieba, na którym chłodne chmury ustępowały światłu.

Dziadek namalował go rok po chorobie.

Tak zawsze mówiono.

Późne dzieło. Powrót do formy. Dowód, że Julian Orłowski nie utracił tego, co czyniło jego malarstwo rozpoznawalnym.

W dzieciństwie słyszałam tę historię tyle razy, że przestała brzmieć jak opowieść. Stała się faktem, którego się nie sprawdza.

Odwróciłam się do komputera i otworzyłam protokół.

Przy punkcie dotyczącym stanu warstwy malarskiej zatrzymałam kursor.

Mogłam wpisać, że nie stwierdzono przesłanek wymagających rozszerzenia zakresu badań. W świetle tego, co wiedziałam w tamtej chwili, nie byłoby to nawet oczywistym kłamstwem. Różnica w prowadzeniu pędzla mogła mieć dziesięć banalnych przyczyn. Litera H mogła oznaczać nazwisko konserwatora, materiał, punkt technologiczny albo coś, czego nigdy nie uda się ustalić.

Wystawa nie musiałaby czekać.

Moja praca również.

Wpisałam: „Zaleca się rozszerzenie diagnostyki przed rozpoczęciem ingerencji konserwatorskiej”.

Tadeusz przeczytał zdanie ponad moim ramieniem.

- To oznacza kolejną opinię.

- Tak.

- I badacza dokumentacji.

Odchyliłam się od ekranu.

- Kogo?

- Radeckiego. Aleksandra Radeckiego. Pracuje przy proveniencji późnych obrazów Orłowskiego. Chciał zobaczyć ten obiekt jeszcze przed konserwacją.

Odwróciłam się powoli.

- Chciał zobaczyć właśnie ten obraz?

Tadeusz zawahał się na tyle krótko, że ktoś inny mógłby tego nie zauważyć.

Ja zawodowo zajmowałam się dostrzeganiem śladów, które innym wydawały się zbyt małe, żeby miały znaczenie.

- Między innymi - odpowiedział.

Spojrzałam ponownie na ołówkową literę ukrytą przy krawędzi płótna.

H.

Jeszcze wtedy nie wiedziałam, kim był Aleksander Radecki ani dlaczego interesował go obraz mojego dziadka.

Nie wiedziałam też, że zanim go poznam, on będzie już wiedział o mojej rodzinie coś, czego nikt nigdy mi nie powiedział.

Rozdział 1. Człowiek od dokumentów

Aleksander Radecki spóźnił się cztery minuty.

Nie był to rodzaj spóźnienia, który zwykle się zauważa, ale ja od ponad pół godziny siedziałam w małej sali konferencyjnej na drugim piętrze muzeum, przeglądając wyniki oględzin i próbując nie myśleć o tym, że jedno zdanie wpisane przeze mnie do protokołu uruchomiło serię decyzji, nad którymi nie miałam już pełnej kontroli.

Tadeusz stał przy oknie z kubkiem kawy. Marta Lis przeglądała zdjęcia szkiców przeznaczonych do wystawy i co kilka minut marszczyła brwi nad ekranem laptopa. Znałam ten wyraz twarzy. Oznaczał, że coś ją drażni, ale jeszcze nie zdecydowała, czy warto o tym mówić.

- Jest - powiedział Tadeusz, zanim klamka się poruszyła.

Drzwi otworzył wysoki mężczyzna w ciemnym płaszczu. Nie wszedł gwałtownie, nie przeproszał z przesadą. Zdjął rękawiczki, zamknął za sobą drzwi i dopiero wtedy spojrzał na nas.

- Przepraszam. Tramwaj stanął przy dworcu - powiedział.
- Aleksander Radecki.

Mówił spokojnie, bez tej charakterystycznej dla ludzi z instytucji kultury mieszaniny formalności i udawanej serdeczności. Tadeusz przedstawił nas kolejno. Gdy padło moje nazwisko, Radecki spojrzał na mnie o ułamek sekundy dłużej niż na Martę.

Być może tylko mi się tak wydawało.

- Widzieliśmy się kiedyś? - zapytałam.

- Nie.

Odpowiedział od razu.

- Pamiętałbym.

Nie wiedziałam, czy to uprzejmość, czy stwierdzenie faktu. Jego twarz niewiele mi podpowiadała. Nie był chłodny w oczywisty sposób. Raczej oszczędny. Jak ktoś, kto zanim odpowie, odruchowo sprawdza, czy każde słowo jest potrzebne.

Usiadł naprzeciwko mnie i wyjął z torby cienki notes, kilka wydruków oraz ołówki. Żadnego tabletu. Żadnego laptopa. Człowiek od dokumentów najwyraźniej ufał papierowi.

Tadeusz przeszedł od razu do rzeczy.

- Nina zgłosiła potrzebę rozszerzenia diagnostyki „Światła po deszczu”. Chcę, żebyśmy ustalili, co jest konieczne, a co możemy zrobić bez przesuwania harmonogramu.

- Najpierw chciałbym zobaczyć pełny protokół oględzin - powiedział Radecki.

Przesunęłam w jego stronę kopię.

Nie zaczął od mojej notatki o warstwie malarskiej ani od inicjału przy krawędzi płótna. Najpierw przeczytał dokument od początku, linijka po linijce. Zatrzymał się przy informacji o wcześniejszym dublażu i przy dacie ostatniej większej ingerencji konserwatorskiej.

- Mamy dokumentację fotograficzną z tamtej konserwacji? - zapytał.

- Niepełną - odpowiedziałam. - Kilka odbitek, żadnych negatywów. Opis zabiegów jest lakoniczny.

- Nazwisko konserwatora?

- Lewandowski. Stanisław.

- Ten z Sopotu?

- Prawdopodobnie. W dokumentacji nie ma adresu pracowni.

Zanotował coś.

- Obraz był wtedy zdejmowany z krosna?

- Według opisu nie.

- A widoczne dziś krawędzie?

- Częściowo. Nie w takim zakresie jak teraz.

Dopiero wtedy podniósł wzrok.

- Czyli znak, który pani znalazła, mógł być przez lata ukryty.

Nie podobało mi się, że nazwał to znakiem, jakby miał już znaczenie.

- Mógł - powiedziałam. - Na razie jest śladem ołówka.

- Oczywiście.

Tyle że ton miał człowieka, który różnicę między jednym a drugim rozumiał aż za dobrze.

Marta odezwała się pierwszy raz.

- Obejrzałam wczoraj reprodukcje prac Hanny Orłowskiej z początku lat siedemdziesiątych. Litera H niczego nie rozstrzyga. Podpisywała niektóre szkice samym inicjałem, ale równie dobrze może nie mieć z nią nic wspólnego.

Radecki spojrzał na nią z uwagą.

- Ma pani dostęp do oryginałów?

- Do trzech prac na papierze. Są w magazynie grafiki.

- Chciałbym je zobaczyć.

- Po co? - zapytałam.

Zawahał się ledwie zauważalnie.